

OPTYMIZM NA MIARĘ BEKSIŃSKIEGO

Beksiński fascynuje mnie konsekwentną logiką swojej sprzeczności. Jego obrazy, grafiki, jego podejście do świata i życia – wszystko to zawsze było zaprzeczeniem.

Nie można go było ująć w żadnych konwenansach, nurtach, ideach, do nikogo porównać. Nie tylko dlatego, że się tego uporcezywie wystrzegął, ale po prostu nie pasował do niczego, co już istniało. Bardzo nie lubił schematów i narzucania interpretacji, dlatego większość jego twórczości widnieje pod nazwą „Bez tytułu”. Sam fakt nietytułowania obrazów stawia go już poza standardowymi schematami interpretacyjnymi. Narzucanie komuś rozumienia sztuki jest jak próba przeszczepienia komuś własnych oczu, myśli i doświadczeń. Usilnie od tego uciekał, bo wyobrażał sobie świat „jako agorę, na której wszyscy ze wszystkimi mogą dyskutować”. Odpowiadał mu ten rodzaj pięknej różnorodności, więc pozostawiał swoje obrazy bez nazwy – ku wolnej interpretacji, by dać możliwość samodzielnego tytułowania zgodnie z odczuwalnymi emocjami. Poza jasnym, łamiącym serce przekazem „Never more” nie ma chyba żadnego jego obrazu, który byłby w jakimkolwiek stopniu jednoznaczny.

Właśnie na tym powinna polegać sztuka – otwarte interpretacje pozwalają na poszukiwanie przekazu i sensu w sobie, nie w autorze. Dzisiaj ludzi bardziej fascynuje to jak Beksiński żył, jak pokrętnie poukładał sobie codzienność. Zastanawia mnie tylko to czy szukają kolejnych kontrowersji ze względu na to, że chcą lepiej zrozumieć jego twórczość przez poznanie jego historii czy też mają wewnętrzną potrzebę obcowania z innością, by mieć pewność, że sami wpisują się w granice normalności. Skłaniam się ku drugiej wersji, ze względu na to, że wszystkie sztuki, książki i filmy, które rodzą się ostatnio w zatrważającym tempie, nie mają nic wspólnego z jego sztuką i nie pochylają się nad jej genialnością. Jego malarstwo gra tam drugie, jeśli nawet nie trzecie tło.

Kiedy ludzie mówią o Beksińskim lubią określać go malarzem „snów i śmierci”. W moim odczuciu jest wręcz przeciwnie – Beksiński to malarz życia. Może na mój odbiór jego sztuki wpływa to, że jestem wielką optymistką i entuzjastką, a może on sam tak odbierał świat. Podkreślał przecież w wielu wywiadach, że nie uważa swoich obrazów za ponure i mówił, że jest wielkim miłośnikiem życia, afirmuje je i marzy by żyć jak najdłużej. Nie mam na myśli tego, że nie zauważam „ciężkości” tematyki jego obrazów, po prostu odbieram ją w zupełnie innym kontekście. Oprócz tragedii ludzkich relacji i związków, widzę w tych obrazach dużo nadziei. Dziennikarze w wywiadach z Beksińskim lubili zwracać uwagę na „ponure barwy”, które wybierał. Ja w większości jego obrazów widzę również te jasne, które

przebijają się zza dominujących, mrocznych. Takie jest przecież życie – skomplikowane i trudne, ale piękne. Wplącze nas w najbardziej toksyczne relacje, nie pozwoli zrozumieć własnych emocji i myśli, spaczy nasze poczucie własnej wartości, sprawi, że zgubimy gdzieś moralność, ale przy tym wszystkim powie rezolutnie, że jutro też jest dzień i jeśli tylko chcemy – może być zupełnie inny.

Właśnie to, w wielkim skrócie, cenię w jego twórczości najbardziej - daje mi zgodę na inność, mówiąc przy tym, że jest to równe normalności. Pokazuje złożoność i trudność życia oraz ludzkiej duszy, mówiąc przy tym, że na tej zawiłej drodze spotkam też światło. Mówi : żyj i kochaj ludzi, chociaż nie będzie to łatwe. Potkniesz się, potłuczesz, pęknieś na pół, będziesz żywcem szył rany, ale warto, bo sensem życia jest doświadczenie i odczuwanie – nawet to najboleśniej. Życie składa się z bólu i nigdy go nie unikniemy. Ludzie krzywdzą (równie mocno innych, co samych siebie), nasze emocje się plączą w nierozwiązywalne supły, ale przeżycia, które temu towarzyszą albo które pojawią się później potrafią być też piękne – musimy tylko umieć to dostrzec zza najmroczniejszych barw i najczarniejszych scenariuszy.